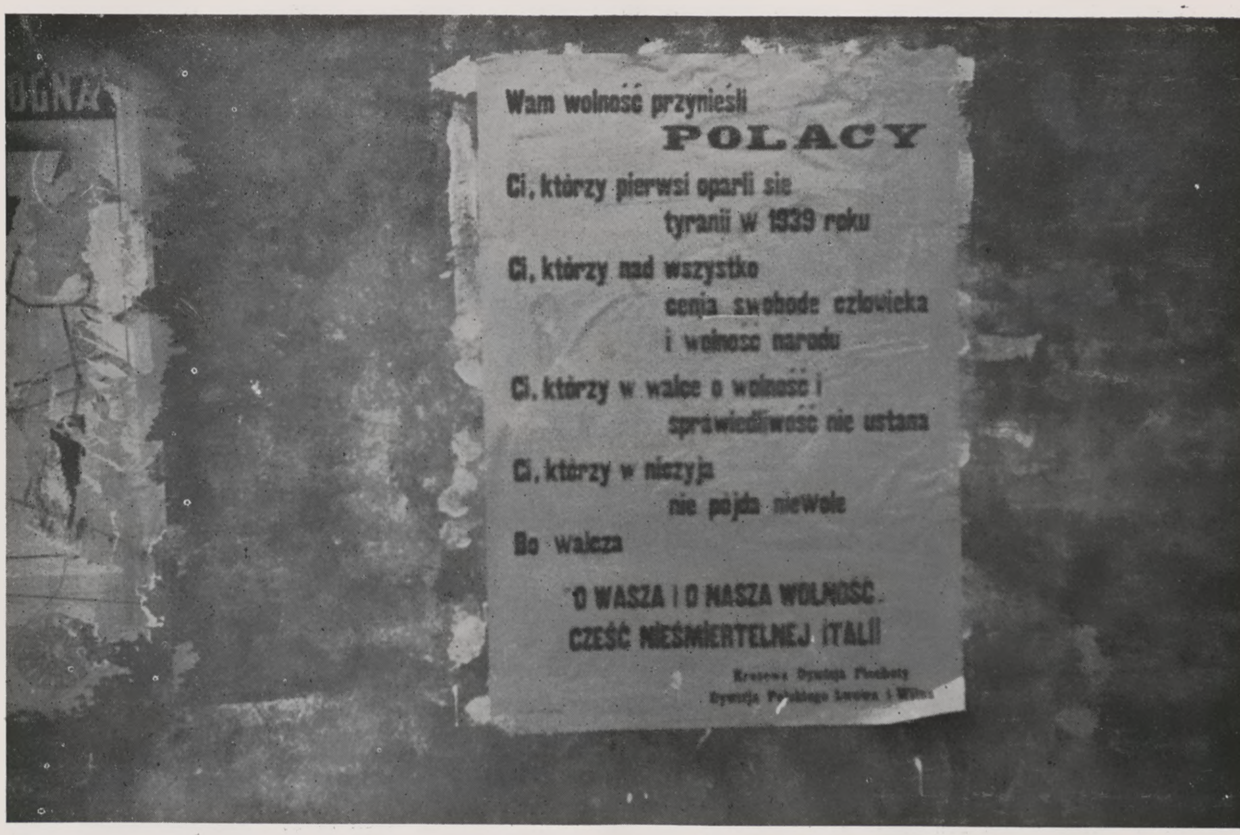
# TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Herminja Naglerowa
Krzysztof Nienaski
Ks. Alfons Skoniecki
Juljusz Starzyński
Stanisław Stroński
Kazimierz Wierzyński
Jan Wolny

Vol. 3. Nr. 31 (136) Nowy Jork, 12 sierpnia — New York, 21. N. Y., August 12th, 1945. Cena 20 ct.


# TE SAME ZAWSZE POLSKIE HASŁA




*Na murach oswobodzonej Bolonji, takie oto proklamacje zostały rozlepione przez naszą Dywizję Kresową.*

STANISŁAW STROŃSKI

# JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA

Znowu została nam tylko ta pieśń. Lecz to nie jest mało. Jest w niej bowiem nietylko miłość, wiara i nadzieja, które są najpotężniejszymi pędami życia, ale i prawda, która jest życia ostoją najpewniejszą. Wiodła ona, od półtora wieku, pokolenie za pokoleniem, gdy wszystko zdało się stracone.

Jest właśnie w tych dniach rocznica tej pieśni. Powstała ona bowiem w końcu lipca lub w sierpniu 1797, wśród wojska polskiego we Włoszech, gdy po trzecim rozbiorze w r. 1795 kraj cały był w niewoli. Teraz znowu jest wojsko polskie na ziemi włoskiej i na innych ziemiach obczyzny i znowu kraj jest od sześciu lat w niewoli.

Jak ona powstała, nikt tego nie pojmie lepiej, żywiej, wyraziściej, niż żołnierze i tułacze dzisiejsi. Była jedną z wielu. A wszystkie rodziły się wówczas, jak dzisiaj, z tego samego czynu, woli i celu, jak to już przed stu laty objaśniał Stefan Witwicki:

"Poezja ta była całkiem w czynie. Zamiast liter miała wystrzały i cięcia, rymami u niej były jedne po drugich zwycięstwa, a ogólną treścią jej było poświęcenie się bez granic dla Ojczyzny. Każdy prawie bataljon i każdy prawie szwadron miewał własnego rymotwórcę. W każdej ich piosnce i dumie było mowa o Polsce. Czy poeta opiewał zwycięstwo swego pułku, czy też zgon swoich przyjaciół, nie wymagano od niego ani nadzwyczajnych pomysłów, ani świecących wygładzeniem wierszy; aby u wszystkich oficerów, podoficerów i żołnierzy używał wziętości i sławy autorskiej, dosyć mu było wyrazić z wiarą tę prostą a wielką myśl narodową: tu o to chodzi, że Polska być musi."

Gdy więc Józef Wybicki napisał jedną z tych piosnek żołnierskch, która poszła w świat z melodją Michała Ogińskiego, nie było w jego zamiarze ni w świadomości stworzenie powszechnej pieśni narodowej. Stała się nią dopiero, gdy zabrzmiała, gdy obiegła legjony, gdy dotarła do kraju. Nie powstała jako pieśń narodowa lecz się nią stała i nie dano jej tej nazwy z urodzenia lecz ją zdobyła. To jest jej świadectwo najchlubniejsze i najrzetelniejsze.

Nietylko bowiem sercom przypadła lecz trafiła w sedno myśli tysięcy i miljonów. Józef Wybicki, pisarz i poseł Sejmu Czteroletniego, żołnierz Kościuszki i następnie wygnaniec — naprawdę vates, miles, exul w pełni — w sile wieku pięciu krzyżyków i w harcie przeżyć i doświadczeń doby wielkiej i twardej, miał w duszy tę tajemnicę twórczą, prostą i wielką: widział, czuł, rozumiał. Więc nie rzekł lecz krzyknął od pierwszych zaraz słów prawdę prawd:

Jeszcze Polska nie umarła<br>
Kiedy my żyjemy,<br>
Co nam obca moc wydarła<br>
Szablą odbierzemy.

Ta pierwsza zwrotka — (tak napisana własnoręcznie przez Wybickiego a po jakichś dziesięciu latach w czasie Księstwa Warszawskiego przyjęta w brzmieniu dzisiejszem) — mówi wszystko.

"Jest tu treść i istota polskiego sumienia" — powiedział Stanisław Witkiewicz w r. 1903, a Ignacy Chrzanowski w r. 1922 treść tę określił: — "Pewność odzyskania wolności oparta na wierze we własną siłę narodu."

Dźwignią jednak tej pewności jest czyn w łączności z całym narodem tam w Polsce — (wówczas jak dzisiaj!) — i dlatego ta część pierwszej zwrotki, która to mówi, staje się hasłem wracającem we wszystkich nieusannem tętnem tej pieśni natchnionej:

Marsz, marsz Dąbrowski<br>
Do Polski z ziemi włoskiej,<br>
Za Twoim przewodem<br>
Złączym się z narodem.

Miała ona dotrzeć do kraju, ku któremu (wówczas jak dzisiaj) — zwracały się myśli w każdej chwili, a zwłaszcza gdy krzepły w obrazy słów i zwrotek::

Mówi ojciec do swej Basi<br>
Cały zapłakany:<br>
Słuchaj jeno, pono nasi<br>
Biją w tarabany.

Tak jak teraz tam nasłuchują.

I cel ten sam — (a nawet w kolejności tej samej) — wówczas i dzisiaj:

Niemiec, Moskal nie osiędzie,<br>
Gdy, jąwszy pałasza,<br>
Hasłem wszystkich zgoda będzie<br>
I Ojczyzna nasza.

Cel ten sam i ta sama ku niemu droga jedności narodu.

Pieśń, zdawałoby się tak prosta i samorzutna jak tylko być może, zapewne dlatego właśnie wytryska z rdzenia duszy narodowej, ogarnia cały widnokrąg, zmierza z mroku ku światłu.

Jest różna od innych pieśni narodowych jak różne są narody.

Francuska Marsyljanka o pięć lat tylko od naszej piesni starsza, także w ogniu walk wykuta, jest śpiewem uniesienia ku chwale narodu w miłości Ojczyzny i wolności. Le jour de gloire est arrive, amour sacre de la Patrie, liberte, liberte cherie. Utrwalona zwycięskimi doswiadczeniami świadomość bezpieczeństwa, które daje władanie morzami, jest wątkiem brytyjskiego: Rule, Britania, rule the waves. Wyniesienie Niemiec ponad wszystko w swiecie wyraża się w niemieckiem: Deutschland uber alles, uber alles in der Welt.

A nasza pieśń to zmysł i zew życia przeciw nastającej zagładzie.

W tej pieśni bez skazy niema wielkich słów. Ale jest prosta prawda, jasna myśl, nieugięty duch. Mówi ona wszystko.

To nie pieśń, lecz zdarzenie ciągłe i żywe, nieustanne tętno bytu narodowego.

Gdziekolwiek dziś jesteś, Polaku, zapytany o pogląd polityczny w dzisiejszej zamieci pojęć, odpowiedz:

— Jeszcze Polska nie zginęła!

Wszędzie w świecie cię zrozumieją i będą wiedzieli gdzie stoisz.

**W POPRZEDNIM NUMERZE 30(135) "TYGODNIKA POLSKIEGO"**

**Kazimierz Wierzyński: Podzwonne za Kaprala Szczapę; Zygmunt Nowakowski: Mosty Warszawy; Jan Wolny: Granice Lubelskiej Polski; Katarzyna Besterman: Bruno Winawer nie żyje; Ludwik Berger: Tematyka Polska na Środkowym Wschodzie; Opinje i Zdarzenia.**

JAN WOLNY

# Ile kosztuje polityka słowiańska

W tych samych dniach, w których rozgrywały się w Moskwie równoczesne tragedje sądu nad 16 męczennikami polskiego podziemia i tworzenia "rządu jedności narodowej" ci panowie z Lublina, jeszcze nie wzbogaceni o osoby pp. Mikołajczyka et consortes, przegrali w tej samej Moskwie decydującą rundę o posiadanie Zaolzia. Przegrali ją głównie z własnej winy. Piszemy te słowa nie ze złośliwością, lecz ze smutkiem. Jesteśmy bowiem przekonani, że polscy górnicy, hutnicy i chłopi z Zaolzia, mając do wyboru pół-sowiecką Czechosłowację i półsowiecką Polskę, woleliby być narażeni na te same niebezpieczeństwa i groźby przyszłości we własnym, a nie cudzym kraju.

Spróbujmy w najkrótszych słowach zdać sobie sprawę z tej sytuacji. Nie jest to proste, bo trudno o temat bardziej skomplikowany.

Pokonawszy Polskę na jesieni 1939 r., Hitler rozwiązał spór graniczny polsko-czeski prawdziwie bezpartyjnie, przyłączając Zaolzie formalnie do Rzeszy. Przez pięć zgórą lat okupacji Czesi Zaolzia nie mieli ławego życia ale powodziło im się znacznie lepiej, niż Polakom. Nie brano ich przemocą do niemieckiego wojska; kartki żywnościowe mieli te same, co Niemcy. Czesi byli obywatelami drugiej klasy; Polacy — czwartej. Nie wiemy dokładnie, jakie zasługi poniosły na Zaolziu ruchy podziemne czeski i polski ale możemy być pewni, że jak wszędzie gdzieindziej, walka o niepodległość kosztowała Polaków drożej niż Czechów. W konsekwencji Czesi wyszli z okupacji bardziej obroną ręką, niż Polacy.

Pewnego dnia wczesną wiosną r.b. komunikat sowieckiego sztabu doniósł o zdobyciu polskiego Cieszyna, a w parę dni potem o zajęciu Bohumin i Karvinny, — nie Bogumina i Karwiny. W ten sposób, w decydującej pierwszej chwili wypędzenia Niemców, marszałek Koniew przywrócił granicę 1938 r., pozostawiając Zaolzie Czechom. Nie zrobił tego bez wątpienia bez instrukcji z Moskwy. Pp. Benesz i Fierlinger postarali się zawczasu o to, aby instrukcja ta wypadła po ich myśli. Pp. Bierut i Osubka, zajęci walką z Londynem i z własnem społeczeństwem, nie mieli czasu na drobiazgi w rodzaju Zaolzia. Gdy się spostrzegli, było już zapóźno: Czesi mieli już za sobą 99 proc. praw do Zaolzia, bo jego faktyczne posiadanie.

W parę miesięcy po tym wypadku zaczęły dochodzić z Krakowa i Katowic wiadomości o prześladowaniu Polaków na Zaolziu: areszty, pobicia, traktowanie Polaków na równi z Niemcami, zamykanie spontanicznie powstałych szkół polskich, przygotowania do deportacji wszystkich Polaków za Olzę. Czesi wyraźnie przeciągali strunę. Do dawnych "kresowyh" szykan policyjnych czeskich przybyły nowe metody czeskiego nacjonal-bolszewizmu. Lubelscy Polacy, którzy stratę wschodniej połowy kraju chcieli przysłonić dymną zasłoną zdobyczy terytorialnych na Zachodzie, zrozumieli, że albo muszą zamknąć oczy na wypędzenie Polaków z Zaolzia, albo stanąć do frontowej walki o całość problemu. Widocznie nastrój w Polsce był taki, że pozostało im tylko to drugie wyjście.

Przybrało ono dobrze nam znane, a w obecnej sytuacji nieco groteskowe formy. Pewnego dnia prasa lubelska i radjo chóralnie rozpoczęły ostrzeliwane pozycji czeskich na Zaolziu. W parę dni potem partje polityczne, nie wykluczając komunistów, coprawda tylko śląskich, przyłączyły się do chóru ostrzeżeń i pogróżek. Zaraz potem marszałek honoris causa Żymierski zjechał na czele oddziałów wojskowych do Cieszyna i został tam obrzucony kwiatami przez tłumy. Nie wątpimy, że tłum naprawdę rzucał kwiaty Żymierskiemu . . . Coś jak w październiku 1938 r., — tyle, że Beck miał większą wolność ruchów od satelitów lubelskich...

Czesi odwołali (jak się okazuje tylko na czas jakiś) szykany na Zaolziu, ale nie zmienili na jotę zasadniczego stanowiska, że Zaolzie jest ich. Natomiast Kreml się zaniepokoił "wojną Słowian pomiędzy sobą" i wezwał deputację czeską dla omówienia sporu w Moskwie z Polakami, którzy tam właśnie, pod akompaniament procesu 16-tu, dyskutowali w jaki sposób "wykonać Jałtę", nie zmieniając ani formy, ani substancji rządu lubelskiego. W pewnej fazie tych dyskusji Bierut, Osubka i Rzymowski zasiedli do stołu obrad z Czechami. Arbitrował im wicekomisarz Wyszyński. Przebiegu tych obrad nie znamy, gdyż nie został ujawniony. Z niedyskrecji prasowych amerykańskich wiemy tyle tylko, że po wybuchu oburzenia Osubki, który nieznajomość rzeczy nadrabiał nadużyciami wymowy, Wyszyński postawił go na miejsce uwagą, że nie czas i nie miejsce na "hitlerowskie metody".

Przed zjazdem polsko-czeskim w Moskwie można było przypuszczać, że dojdzie tam do arbitrażu sowieckiego w rodzaju tego, w jakim Hitler rozsądzał spory między swemi satelitami, jak w 1941 r. w Wiedniu między Węgrami i Rumunją. W rzeczywistości rząd sowiecki cofnął się przed publicznym wyrokiem, który musiałby podrażnić jedną lub drugą stronę. Praktycznie biorąc, stanowisko sowieckie wyraziło sę w utrzymaniu już istniejącego na Zaolziu stanu rzeczy. Gdy protagoniści sporu wrócili do Pragi i Warszawy, Czesi wyraźnie powiedzieli, że nie oddali i nie oddadzą Zaolzia,—Polacy coś tam bąkali, że dwa słowiańskie narody muszą się pogodzić według recepty samostanowienia... Na dobitek Lublin nie mógł się powołać na jakieś orzeczenie międzynarodowe, skoro pogląd sowiecki nigdy nie był publicznie wyrażony. Sprawa Zaolzia, teoretycznie wciąż otwarta, była praktycznie przegrana w drugiej już instancji.

Ten stan rzeczy trwa dalej. Warszawa ujawnia coraz to nowe nadużycia czeskie na Zaolziu i wciąż apeluje do solidarności słowiańskiej, ale apeluje coraz cichszym głosem. Czesi są gotowi — tak mówią — do kompensat wszelkiego rodzaju, ale ani piędzi ziemi nie oddadzą. Powiadają, że Polska ma dość węgla i dosyć ziemi, ale zamało ludzi, i że powinna wycofać Polaków z Zaolzia na pusty niemiecki Śląsk. Tak dalece chcą Polsce pomóc w tym problemie kolonizacyjnym, że oficjalnie domagają się przyłączenia do Czech czterech powiatów niemieckiego Śląska (Raciborz, Głupczyce, Kładzko, Habelschwert), które Moskwa obiecała i nawet częściowo przekazała Lublinowi. Te powiaty miały przed wojną przeszło 400,000 mieszkańców, są więc objektem dwa razy większym od Zaolzia.

Co będzie dalej, niedługo się dowiemy. Nie jest wykluczone, że wschodnia granica Rzeszy, a z nią razem sprawa Zaolzia, została przesądzona na zebraniu Wielkiej Trójki, w nieobecności stron i na wniosek sowiecki. Jeśli tak się stanie i jeśli,

jak można przypuszczać, stanie się z uszczerbkiem praw Polski, ci panowie z Lublina zawsze będą mogli przerzucić odpowiedzialność na Anglików, a w dalszej linji na rząd polski w Londynie...

Polacy lubelscy przegrali sprawę Zaolzia, ponieważ jej nie znali, nie interesowali się nią, i ponieważ siedzieli po uszy w niewoli własnych frazesów. O wiele bardziej od opozycji polskiej z przed wojny (która nie była bez winy), komuniści polscy woleli stracić Zaolzie, niż przyznać rację Beckowi. Dopiero parę miesięcy temu odkryli oni, że spór o Zaolzie nie został wymyślony przez sanację. Jednak w zacietrzewieniu partyjnem zdążyli już byli przedtem sto razy przyznać rację Czechom i nie mogą tego cofnąć. W tym samym czasie Czesi, od żandarmów pogranicznych do komunistów włącznie, wykazali w sporze o Zaolzie najdalej idącą solidarność narodową. Piszący te słowa, który od ćwierć wieku sporem tym się interesuje, nigdy nie napotkał partyjnego lub osobistego oddychylenia czeskiego od obowiązującej linji państwowej.

Drugiem z zakłamań lubelskich jest solidarność słowiańska. Ci panowie z Lublina biorą ją na serjo, zapominając, czy może nie wiedząc, jakim celom hasło to służyło za nie tak dawnych czasów Aleksandra III, Katkowa i Apuchtina. Nie spostrzegają oni, że w gradacji narodów słowiańskich Polska, dziwnym zbiegiem okoliczności znalazła się ostatnio na najniższem, wstydliwem miejscu. Nie widzą, albo nie mogą głośno powiedzieć, że w naszych czasach solidarność słowiańska służy przedewszystkiem do okrawania Polski na rzecz słowiańskich sąsiadów: Lwów — Ukrainie, Grodno — Białorusi, Zaolzie — Czechom. (Z ulgą myślimy, że nie mamy wspólnej granicy z Jugosławą i Bułgarją; kosztowałoby to nas parę prowincji).

Dla tych i innych powodów, komuniści polscy dawno przed wojną popadli w nieprzezwyciężony kompleks niższości w stosunku do Czechów. Ich ton i szyk od lat już wymagał, aby przy każdej rozmowie z Czechami bić się w piersi w imieniu "prawdziwej" Polski prosić o przebaczenie win popełnionych, aby bez wzajemności zabiegać o czeskie względy. Tradycja, nawet krótka, obowiązuje. Polski kompleks niższości wobec braci Czechów bardzo był dobrze widziany na Kremlu. Jakże z nim teraz zrywać?

Wreszcie kaliber lubelskich wielkości, w porównaniu z ludźmi z Pragi, musiał przemawiać przeciw nim, w Moskwie czy nie w Moskwie. Premjer czeski, Fierlinger, dziesięć lat jako poseł i ambasador siedział w Moskwie, pod wozem i na wozie, i dobrze wie, jakiego tam języka używać. Minister hadlu zagranicznego Ripka, który z nim jeździł do Moswy, to rutynowany, szczwany, kuty na cztery nogi gracz polityczny, doskonale znający przedmiot. Wiceminister spraw zagranicznych, komunista Clementis, jest mężem zaufania Kominternu. Gdy już doszło do dyskusji, kogo mógł Lublin przeciwstawić tym wytrawnym Czechom? Osubkę, czy Rzymowskiego, czy "ambasadora" polskiego w Pradze Wierbłowskiego, obywatela sowieckiego, który odjechał do Pragi na tydzień przed obradą moskiewską? Przypuszczenie, że ci panowie potrafili wyłożyć trudny przedmiot i kogokolwiek przekonać, jest nieprawdopodobne. W dodatku wszyscy poważni eksperci od Zaolzia, zwłaszcza gospodarczy, są w Londynie, a więc domniemanie są "faszystami", a członek Rady Narodowej z Karwiny, dr. Kożusznik, dojechał do Polski już po moskiewskiej debacie i niewiadomo, czy będzie miał coś do powiedzenia w warszawskiem policyjnem powietrzu.

Zaolzie, to nietylko 200,000 Polaków najlepszego gatunku, ale także produkcja 7 miljonów ton węgla, specjalnie Polsce potrzebnego z uwagi na jego właściwość, to blisko miljon ton stali trzynieckiej rocznie i jeden z największych węzłów kolejowych w Eropie — Bogumin. To nie są żarty dla kraju do dna wyczerpanego przez wojnę. To także coś więcej. Od rozwiązania sprawy Zaolzia zależy przebieg granicy czesko-polskiej na innych odcinkach zachodniego Śląska, na których Polska mogłaby znaleźć zrozumienie interesów czeskich, a ponadto coś mniej wymiernego, ale bardziej istotnego, mianowicie atmosfera współżycia Polaków i Czechów pod wspólną im obcą kontrolą. Granica na południowym wschodzie będzie dla Polski lądową granicą najważniejszą i może najłatwiejszą dla przekroczenia dla towarów, ludzi i myśli — jeśli będą towary do kupna i sprzedaży, i jeśli ludziom i myślom będzie wolno podróżować... Czechosłowacja otoczona będzie, jak dawniej, z trzech stron przez wrogich jej Niemców, Austrjaków i Węgrów. Wcale nie jest obojętne, czy po obu stronach granicy i Czesi będą chować się w uczuciu sąsiedzkiej solidarności w złej doli, czy w niechęci i z zamiarem porachwania się na nowo, skoro tylko konjunktura mędzynarodowa ulegnie zmianie.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription
Monthly 80 cents
Half yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

# GUBERNATOR KANADY KAWALEREM "VIRTUTI MILITARI"



*Marszałek Aleksander, nowomianowany gubernator Kanady, w chwili dekorowania go przez generała Sosnkowskiego orderem "Virtuti Militari"*

KS. A. A. SKONIECKI

# HISTORJA SIĘ POWTARZA...

Przeżywamy obecnie bardzo ciężkie chwile, bo wielkie są nasze obawy o Polskę i Polaków. Z obawą, owszem nawet wielką trwogą otwieramy nasze radia i bierzemy do ręki gazety.. Jakaż znowu będzie wiadomość z Polski, lub o Polakach? Kogo i ilu zaareszowano w Polsce, co się stanie z Polakami w Niemczech, we Francji, w Turcji, w Afryce? Co zrobią lianci z ćwierć miljonową waleczną Armią Polską, która pod dowództwem gen. Komorowskiego, Andersa i Maczka pozostała wierna złożonej przysiędze?

Miotany niepewnościami, kręcąc się w kółko w tym błędnym kole niedoli narodu polskiego, zmuszam się do ucieczki od tej dzisiejszej tragicznej rzeczywistości. Uciekam myślą do wielkich dziejów Polski i historycznych postaci polskich, którzy rozsławiali imię narodu polskiego. To uspakaja i dodaje sił. Przekonuję się, że przecież Polacy nieraz już przeżywali podobne, jak dzisiejsza chwile i że przeżywali je w taki sam sposób, nie tracąc jednak ani na chwilę odwagi, oporu i chęci do walki o swoją niepodległość.

*

Nie wiem poraz już który przerzucam książkę Ewy Curie o jej matce, słynnej polskiej uczonej Marji Skłodowskiej Curie. Czytam tą doskonale napisaną biografję z prawdziwym zachwytem. Wzruszam się zwłaszcza głęboko pierwszą częścią tego wspaniałego życiorysu, którą autorka poświęciła młodości swej matki, mieszkającej wówczas w Warszawie.

Wbiły mi się w pamięć fragmenty, które pragnę ku wzbudzeniu nadziei przypomnieć Czytelnikom.

Jako piętnastoletnia dziewczynka Marja Skłodowska poraz pierwszy spotyka się z tragiczną rzeczywistością polską pod panowaniem Rosji.

Przed gmachem szkoły, dziewczęta spieszące na lekcje widzą, że ich koleżanka, Leonia Kunicka jest

tego dnia dziwnie niespokojna — twarzyczka jej blada, oczy zapłakane.. Dopytują się o przyczynę. Mała Kunicka opowiada, że jej brat, należący do organizacji patrjotycznej został przez policję rosyjską aresztowany i że o wschodzie słońca zostanie powieszony... Przez trzy dni rodzina Kunickich nie wiedziała wogóle co się stało z młodym człowiekiem....

Marja Skłodowska przez cały czas lekcji widziała przed sobą obraz młodego chłopca, któremu kat zarzuca pętlę na szyję. Wieczorem w Domu Kunickich zebrały się koleżanki Leonji, a wraz z niemi Marja Skłodowska i odmawiały przez całą noc modlitwy za duszę młodego Polaka, który dla miłości swego kraju miał o brzasku tego dnia zawisnąć na szubienicy...

Pisze o tej chwlii Ewa Curie — "When the pallor of dawn, accentuating their own pallor, came to mark the moment of the end, they fell on their knees and said a last prayer, their hands concealing their young faces full of terror..." (Rozdział 3, str. 38).

I drugi fragment nierozłącznie związany z tym, który zacytowałem:

Marja Skłodowska i jej koleżanka Kazia Przyborowska, wychodząc z Ogrodu Saskiego w Warszawie, nagle przypomniały sobie, że nie spełniły ważnego obowiązku. Młoda Skłodowska woła więc do Przyborowskiej. wrócić".

"Minęłyśmy pomnik, musimy zawrócić".

Dziewczęta wracają bez słowa, jakby na rozkaz. Popełniły one wielkie narodowe przestępstwo... Na placu Saskim znajdował się bowiem otoczony przez cztery w kamieniu wykute lwy wielki obelisk, noszący napis w języku rosyjskim —

"Polakom wiernym swemu władcy"

Ten pomnik ofiarowany przez cara Polakom, którzy zdradzili swój kraj i stali się wiernymi sprzymierzeńcami ciemięzcy, był obrazą dla patriotów polskich. Tradycja nakazywała splunąć na ten pomnik, ilekroć obok się przechodziło. Jeśli przeto ktoś przechodził przy pomniku, a przez zapomnienie, lub przeoczenie nie splunął, musiał zawrócić i dochować tego świętego dla Polaków zwyczaju.

Marja Skłodowska przypomniała sobie natychmiast, że zapomniała uszanować długoletnią polską tradycję. Zawróciła, splunęła na pomnik zdrajców i dopiero wtenczas ze spokojnem sumieniem odeszła... (Roz. 3ci str. 37).

A czy dzisiaj jest inaczej? Znikają w Polsce patrjoci. Różnica jest tylko ta, że znika ich nieskończenie więcej niż za czasów Marji Skłodowskiej i że rodziny wogóle nie wiedzą obecnie, a może i nigdy się nie dowiedzą, co się z ich dziećmi stało.

Nie w jednym, ale prawie w każdym domu polskim odbywają się i odbywać będą zbiorowe modliwy za zmarłych patrjotów polskich...

I niech nie sądzą "nasi realiści" (tak się to teraz nazywa) że potomność potraktuje tych, co dziś współpracują z ciemięzcą inaczej, niż dawniej...

Nie wiem, czy Stalin będzie tak hojny, by zbudować tym "realistom" pomnik. Wiem tylko, że przyszłe pokolenia spluną na samą myśl o nich... i wiem również, że po stronie Polaków walczących o wolność, znajdą się takie nazwiska, jak nazwisko Polki Marji Skłodowskiej, która swoim wynalazkiem przeciw strasznej chorobie raka przyniosła chlubę Polsce i ulgę całej ludzkości.

---

**KAZIMIERZ WIERZYŃSKI**

# SMUTKU NASZ PUSTY...

*Smutku nasz pusty, martwy wiewie,*
*Co ci tu ulży, co ukoi?*
*Szukam jesionów, tu nikt nie wie,*
*Że przy ulicy rosły mojej.*

*I szukam też panieńskiej brzozy*
*Powabu włosów i kibici,*
*Nie zwiędnie nawet w czasach grozy*
*To, czem się szczęście raz nasyci.*

*Nie wyschnie rosa i kropliście*
*Potrafi spaść jakiegoś ranka*
*Albo pod wieczór wróci w liście*
*Wiatr dawny, łąki, macierzanka.*

*Wtedy w podmuchu, w zwykłym wiewie*
*Budzi się coś, jak ogień w głowie.*
*Czego ja szukam, nikt tu nie wie,*
*Com stracił, nikt się też nie dowie.*

*Tylko mgła w oczach wtedy stoi*
*Ze śmiertelnego szyta płótna,*
*Mgła — szczęście, oddech ziemi mojej*
*I miłość wszystka, absolutna.*

POR. DR. JULJUSZ STARZYŃSKI

# Opustoszałe muzea polskie żądają sprawiedliwości

"Int r arma silent Musae".. Znane i często powtarzane zdanie łacińskie temi słowy określało **neutralność**, ale zarazem **nietykalność** dóbr sztuki i kultury podczas wojny.

Tak było dawnymi czasy. Dzisiaj kraina Muz uległa gwałtowi. Skończył się olimpijski spokój.

Wojna totalna, rozpętana przez doktrynerów niemieckich — z całym systematyzmem nienawiści uderzyła w bastiony Sztuki i Kultury podbijanych narodów słabszych. W nich starała się zniszczyć ostoję dumy i świadomości dziejowej, z której Naród w nierównej walce czerpać mógł siłę oporu i przetrwania.

Hstorja niemieckiego najazdu na kulturę polską sięga głęboko w zamierzchłą przeszłość. Nie poruszając spraw dawniejszych, pomówmy tylko o czasach ostatnich, — b zpośrednio przed i po 1939 roku.

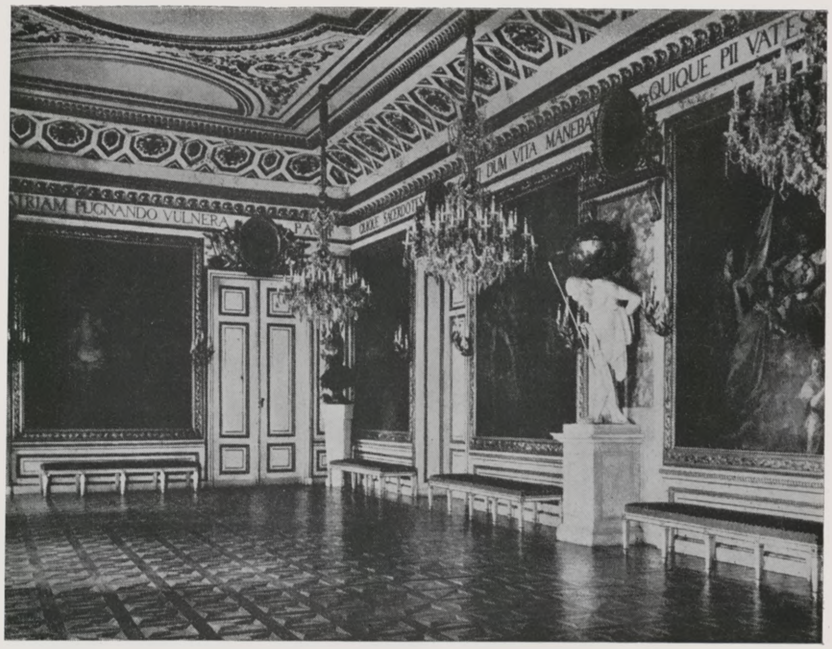
Owe lata, w których nawiązywało się z tamtej strony rzekomo przyjazne stosunki sąsiedzkie — były okresem formalnego najazdu t. zw. uczonych niemieckich na Polskę. Dalszy rozwój wydarzeń potwierdził, że wszystkie te odwi dziny — niby to idealną naukową ciekawością powodowane — w rzeczywistoci były tylko podstępnem przepatrywaniem terenu dla tem łatwiejszego rabunku polskich dóbr kulturalnych w najbliższej przyszłości.

Prof. Claasen z Królewca wygodnym samochodzikiem, zaopatrzony w doskonałe aparaty fotograficzne — buszował Pomorze i Wielkopolskę. Badacze polscy, uwiedzeni frazesem o naukowej współpracy, zaznajamiali go z wynikami swych poszukiwań, ułatwiali dotarcie do najodleglejszych zabytków, w wielu wypadkach nawet niepublikowanych.

Prof. Hempel z Drezna, dla odmiany, upodobał sobie zabytki polskiego baroku (zwłaszcza Lwowa i Małopolski Wschodniej), oczywiście bez reszty i bez ceremonji anektując je dla niemczyzny.

Prof. Dagobert Frey z Wrocławia szczególnie często odwiedzał Warszawę i Kraków, zapowiadając obszerną, objektywną pracę o całokształcie stosunków artystycznych polsko-niemieckich. On również spotkał się z koleżeńską pomocą polskich historyków sztuki, którzy dawali mu wgląd do swych prac, udostępniając przy tem bezcenne źródła naukowej dokumentacji, zgromadzone w Zakładzie Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej, w Centralnym Biurze Inwentaryzacji Zabytków przy Ministerstwie W.R. i O.P. i innych tego typu instytucjach.

Oto zaledwie kilka przykładów, pierwszych z brzegu. Świadczą one o szerokim poglądzie polskich historyków sztuki, którzy umieli się wznosić ponad ciasnotę narodowego partykularyzmu—w imię Nauki i Prawdy. Umieli również sprawiedliwie oceniać wartości, kiedyś, dawnemi czasy wnoszone do ogólnego dorobku kultury przez pracowitą twórczość niemieckiego artysty i rzemieślnika.



*Sala w zamku Królewskim w Warszawie*

Odwdzięzono się za to powodzią ohydnych artykułów propagandowych oraz szeregiem pseudo-naukowych rozpraw o dawnej sztuce i kulturze polskiej, pełnych jadu nienawiści i kłamliwego naciągania faktów.

Odwdzięczono się bestjalsko-programowem niszczeniem jednych zabytków tejże kultury, a bezceremonjalnym rabunkiem innych.

II.

Wrzesień 1939 r... Artylerja niemiecka ze szczególną zaciekłością ostrzeliwuje wyniosłe mury Zamku Warszawskiego, jakkolwiek wiadomo, że niema tam żadnych stanowisk wojskowych. Stara się zniszczyć nietylko siedzibę najwyższej władzy nieprzyjacielskiego narodu, ale przedewszystkiem symbol pewnego typu kultury szerokiej i wielkodusznej, który od wieków przeciwstawiał się żarłocznej zaborczości prusactwa.

Te same działa artylerji niemieckiej z niemniejszą zaciekłością rujnują kościół ewangielicki w Warszawie. A przecież zbudował go w swoim czasie Polak niemieckiego pochodzenia, zasłużony architekt epoki Stanisława Augusta, Szymon Bogumił Zug — a wzorem była drezdeńska "Frauenkirche"... Skądże więc gwałtowna chęć zniszczenia tego właśnie zabytku?... Niewątpliwie miała to być "kara" za niezłomnie polską postawę warszawskiej gminy ewangelickiej, po której najeźdźca spodziewał się odszczepieństwa...

Nieistniejący dziś zamek warszawski — taki, jakim uczyniły go dzieje — był wymownym pomnikiem kulturalnej współpracy między narodami, której wiele przykładów dostarcza dawna i nowsza sztuka polska.

Założony na zrębach średniowiecznej dzierżawy Książąt Mazowieckich — w swym planie i bryle uwydatniał pierwotną surowość gotyku, na

którym z czasem narosły poważne formy późnego renesansu i baroku za królów z dynastji Wazów. Widoczne w nich surowe tchnienie północy następnie uległo częściowemu rozluźnieniu w dekoracyjnych oplotach rokoka epoki saskiej. Wreszcie mecenasoska działalność Stanisława Augusta nadała zamkowi — zwłaszcza jego wnętrzom — piętno swoiste wytwornego smaku i wdzięku, rozpoczynając erę klasycyzmu, który miał ostatecznie uformować oblicze artystyczne Warszawy.

Te dzieła sztuki niepospolitej wartości, powołane do życia wolą twórczą i smakiem polskiego mecenasa, któremu sekundował umiejętnie dobrany zespół różnych nacji, owych Bacciarelli'ch, Kahmsetzer'ów, Plersch'ów, Monaldich, Le Brun'ów — ten to pomnik kultury artystycznej w najlepszym znaczeniu międzynarodowej — w 1939 roku stał się nadewszystko upragnionym celem pocisków nowoczesnego barbarzyńcy.

W czasie oblężenia Stolicy Zamek mocno ucierpiał: wiązanie dachowe spłonęło, runął strop nad jedną z gównych sal, ale większość dekoracji i malowideł wyszła szczęśliwie i całość budowli mogła być uratowana w razie natychmiastowego przystąpienia do robót zabezpieczających. Prace te z własnej inicjatywy podjął Zarząd Miejski natychmiast po ustaniu huku dział.

Ale "kulturalni" okupanci siłą usunęli polskich pracowników. Zamek oddano swobodnej dewastacji żołdactwa. Wyrzucone na dziedziniec stosy mebli i historycznych pamiątek poniewierały się w błocie i śniegu październikowym. Kilofami i bosakami rozbijano wytworne boazerie, inkrustowane posadzki i sztukaterie. — Wkrótce potym rozmaite indywidua z pod ciemnej gwiazdy wagonami sprzedawały efekty tego dzikiego plądrowania, jako t. zw. materiał rozbiórkowy z zamku warszawskiego.

A działo się to w "państewku" gubernatorskiem, gdzie władzę życia i śmierci sprawował Dr. Frank, słynny ponoć uczony — prawnik. Działo się pod okiem "fachowej" komisji konserwatorów niemieckich, którzy tak chętnie chlubią się postępowością swych metod opieki nad zabytkami sztuki.

Około 11 listopada rozeszła się w Warszawie pogłoska, jakoby jeszcze tej nocy planowane było wysadzenie zamku w powietrze. Chodziło o symboliczne potwierdzenie hasła "Finis Poloniae", które z takim uporem głosiła propaganda niemiecka.

Ładunki minowe założono w istocie. Saperzy niemieccy sprawnie wykonywali robotę, kalecząc stare, gotyckie podwaliny. Ale oczekiwany wybuch wówczas jeszcze nie nastąpił.

Kryjąc w zanadrzu jakiś plan dalszy, o wiele bardziej perfidny, wołano narazie pozostawić budowię, by niszczała sama pod wpływem czasu i niepogody. Wolano napuścić żołdactwo, aby brodziło swobodnie wśród wyrzuconych pamiątek, wdeptując je w ziemię. O tem, żeby komuś z Polaków pozwolono zająć się ich zebraniem i uporządkowaniem — nie było oczywiście mowy.

Była to swoista metoda konserwatorska, którą stosowano wszędzie, gdzie tylko nadarzała się okazja. — Nieinaczej zostało potraktowane warszawskie Archiwum Akt Dawnych i wiele innych instytucji pokrewnych.

Ale wróćmy do Zamku:

Ruina, zbrodniczo dewastowana przez pięć lat — została ostatecznie usunięta z powierzchni ziemi minami niemieckich saperów po upadku powstania 1944 roku. W tym samym czasie, równie zbrodniczo, jak z punktu widzenia wszelkich działań wojennych — niepotrzebnie, spalono bezcenny klejnot wczesnego klasycyzmu europejskiego: "Łazienki" Stanisława Augusta.

Pusty plac Zamkowy i zgliszcza łazienkowskiego pałacu są druzgocącym symbolem — jednym z bardzo wielu na obszarze Europy, gdziekolwiek stanęła stopa niemieckiego żołdaka. Ruiny te świadczą, o niezdolności do pomnażania dóbr ogólnoludzkich — Prawdy i Piękna — o kłamliwości tego wszystkiego, co w czasach ostatnich, zwyrodniałej, nazistowskiej doktryny — nazywano nauką i sztuką niemiecką.

### III.

Po upadku Warszawy w 1939 roku podpisano umowę kapitulacyjną; w jednym z punktów zastrzeżono nietykalność około dziesięciu instytucji o charakterze naukowym i kulturalnym. Była mowa o Muzeum Narodowym, Bibliotece Narodowej, Archiwum Głównem itd.

Powyższa umowa była respekowana ze strony władz niemieckich... aż przez dwa tygodnie niespełna...

Z początkiem października zjawiło się w Muzeum Narodowym dwóch panów z trupiemi głowami na czapkach: niejaki Deisler, z zawodu "Kunstmaler" oraz nicjaki Struve, trzydziestokilkuletni, nazistowski "profesor" archeologji prehistorycznej.

Panowie ci rozpoczęli urzędowanie, jako t. zw. Komisja Naukowo-Konserwatorska. Główną podstawą ich pracy były materjały skrzętnie zebrane przez naukowych "idealistów", którzy odwiedzali Polskę w latach poprzednich.

Stosując znane i bezceremonialne metody policyjne SS — "Komisja" ta gromadzić poczęła objekty sztuki i kultury, przeznaczone do rychłej deportacji.

W pierwszym rzędzie zakwalifikowano znaczną część zbiorów Muzeum Narodowego: dział numizmatyki, ze względu na jego wysoką wartość materialną (wiadomo — bardzo dużo złota!) — dział malarstwa obcego (uznano bowiem, że polscy muzealiści nie są zdolni do opiekowania się wybitnemu dziełami sztuki obcej!) — Wszystkie obrazy i rzeźby polskie do końca osiemnastego wieku włącznie (uznano bowiem, w myśl wskazówek naszych "przyjaciół — uczonych", że Polska do tej daty nie posiadała żadnej własnej kultury artystycznej, a wszystko co było — było tylko wkładem niemieckiego kolonizatora...) i td. i td.

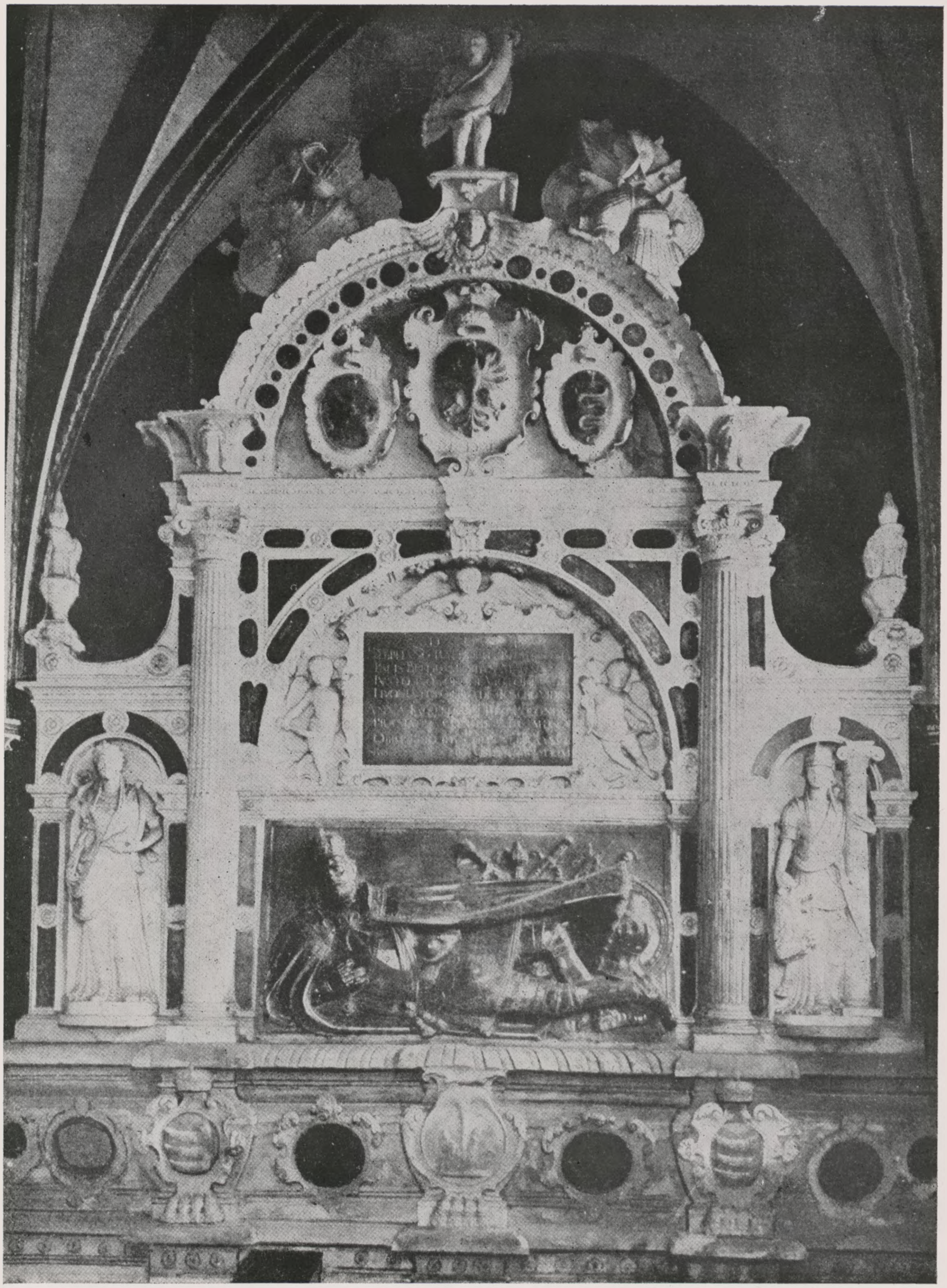
Z pośród innych zespołów zabytkowych, tą pierwszą transzą d portacji objęto słynne widoki Warszawy Canaletta, jak również bronzy i liczne obrazy mistrzów obcych, uratowane z płonącego i bombardowanego Zamku dzięki odwadze i obowiązkowości pracowników Muzeum. Zagarnięto również galerię Stanisława Augusta z pałacu w Łazienkach, — gdzie przetrwała oblężenie bez uszczerbku, pieczołowicie zabezpieczona i opakowana przez swych polskich opiekunów.

W związku z powyższem warto zanotować epizod, dosyć — jak się to mówi — pikantny...

Gdy w październiku 1939 roku przybył do Warszawy na inspekcję nazistowski wielkorządca Dr. Frank, nie zawahano się ofiarować mu "w prezencie" jednego z trzech Rembrandtów, stanowiących ozdobę łazienkowskich galerji. Dr. Frank przyjął "podarunek" z miłym uśmiechem. Zapobiegliwy ten dygnitarz podobnemi metodami zapewne uzupełniał swą kolekcję także i z innych zbiorów polskich: z Wawelu z pałacu "pod Baranami", z Krzeszowic, z Łańcuta, i td.

Nie przyniósł szczęścia ten dar samozwańczych warszawskich Danaów, którzy "łapówką" z cudzej kieszeni usiłowali zjednać sobie pobłażliwość gubernialnego kacyka... Przed kilkoma tygodniami komunikaty radiowe doniosły o ujęciu hitlerowskiego zbrodniarza w Berchtesgaden, gdzie znaleziono przy nim ogromną kolekcję łupów przywiezionych z Polski. Niewątpliwie znajdzie się tam łazienkowski Rembrandt i wiele innych pereł naszych zbiorów...

(Dokończenie nastąpi)



*Pomnik Stefana Batorego w Katedrze na Wawelu (dzieło Santi Gucci).*

HERMINJA NAGLEROWA

# D U N I A

Kiedy wepchnięto nas do celi, Halina krzyknęła, cofając się jakby teatralnym gestem. Strażnik stał z pękiem kluczy przy samych drzwiach i milcząc zagradzał odwrót.

Była późna noc, kobiety w celi już spały, ale przebudzone naszym wejściem, podniosły wrzawę, która brzmiała w mrocznej i gęstej czeluści rozpaczliwym protestem. Na trzech piętrach nar kobiety zdawały się wić w konwulsjach. Unosiły głowy, nie mogąc usiąść pod niskim pułapem. Ugrzęzłyśmy na progu w nawarstwieniu ciał. Strażnik stał bez ruchu. Nawet klucze nie zadzwoniły w jego ręce. Milczał.

Wtedy z pierwszego piętra zsunęły się nogi. Ogromne, guzowate stopy i łydki szare, jak pnie odarte z kory. Głos, który teraz się rozległ, był rykiem goryla: — "Nowe niech staną koło parszy! Nowe tam" — Zrobiło się nagle cicho. Za naszymi plecami zatrzasnęły się dzwi, klucz zazgrzytał. Ogarnęło nas smrodliwe, gorące powietrze.

Halina powiedziała mi szeptem do ucha: — "A zewnątrz wygląda jak stary wiejski dwór". Tak to w istocie wyglądało, kiedy po kilkugodzinnym marszu z dworca zobaczyłyśmy pietropawłowskie więzienie. Ganek, drewniane skoble w bramie, kołatka, zapach obornika. Zapach, jak się wprędce przekonałyśmy, pochodził z parowej dezynfekcji brudnej odzieży więźniów. "Dwór" okazał się kaźnią.

Stojąc przy drzwiach, zaczęłyśmy więdnąć, wiotczeć, omdlewać. Na moich plecach opierała się głowa Janki, wilgotna od potu. Wanda jęczała cienko, a kiedy upadła, leżąca na podłodze kobieta uszczypnęła ją w twarz. Ocucona bólem, Wanda płakała tak samo cienko i żałośnie. Cela oddychała, burczała, chrypiała.

Zaczęłam się mocować z tym, co się nazywa "czasem", "godziną", "minutą". Pchałam to, jak naładowany wóz — przed siebie, przed siebie. Jeszcze trochę wysiłku, a przetoczy się noc. Przepona brzuszna, wspierana wetchniętym powietrzem, najdłużej mocowała się z oporem. Ale zabrakło powietrza i krzyknęłam głośno. Odpowiedział mi ryk goryla:— "Jeszcze nie zdechła, jeszcze, przeklęta, ludziom spać nie daje!" — Cela milczała, urzeczona tym zwierzęcym i groźnym głosem. Godziny i minuty ugrzęzły w nieprzytomności.

Ranek miał kolor i gęstość mleka. Na policzkach Wandy, opartej głową o nakrywę paraszy, mazały się czerwono-brązowe smugi krwi, która cieknąc z nosa, zaskrzepła przez noc. Natomiast wszystkie twarze lśniły zielonym potem. Na wargach szara, zeskorupiała pleśń pękała przy ziewaniu.

Z nary na pierwszym piętrze wysunęła się wielka ręka w stronę lufcika otwartego jakby nie w celi, ale w żółcącym się niebie. Ręka tkwiła nieruchomo rozczapierzonymi palcami, ciemna, podobna do liścia kasztanu. Ziewnięcie zakończone skowytem oznajmiło nam przebudzenie się niewidzialnego potwora. Po celi poszedł szept: — "Dunia wstała" — i zaraz skotłowało się na legowiskach. Odepchnięte od paraszy, wpadłyśmy między skłębione ciała i w ten sposób dopiero każda z nas posiadła swoje miejsce w celi. Było nim — zarzucona cudzymi łachami szpareczka, albo trójkącik, kwadracik, kółko.

Tak umieściłyśmy się na dole. Na narach zato toczyła się walka o każdy centymetr. Czyjeś ręce podepchnęły Wandę — najsłabszą z nas na pierwsze piętro, ale dwie wielkie stopy ustawiły się sztorcem i ryk zamroził nam serca. Już wiedziałyśmy, że to Dunia grozi "rozwaleniem czerepu" i "chłeptaniem krwi z gardła".

Sto trzydzieści kobiet zamarło, zastygło. Te, które czesały włosy, zatrzymały posuwanie się grzebienia; te, które wdziewały koszule, wpięły palce w płótno; bohomołki-tatarki przestały poruszać wargami. Znowu najpierw zsunęły się stopy i łydki-pnie, potem beczkowate uda niezupełnie przykryte ubraniem. Wreszcie spod daszku nar wychylił się tors i głowa. Wszystkie na parterze cofnęły się ku ścianie. Zrobił się luz i Dunia zeszła. Wyprostowała się, stanęła.

Głowa sięgała drugiego piętra. — Ogromnym ciałem wypełniła prawie trzecią część celi. Ramionami zagarnęłaby połowę. Owszem, zamachnęła się ramieniem, ale wszystkie stłamsiły się aby Dunia mogła przeciągnąć się, ostrząsnąć, wierzgnąć nogami.— Twarz Duni, zbyt drobna do ogromu postaci i szerokości bar, nie była zresztą potworna. Pobrużdżona znakami po ospie, miała liliową barwę wrzosu. Oczy wepchnięte między czoło i wystające kości policzkowe były zielonawo-szare, migotliwe, jak źrenica drapieżca. Znikomy nos podciągał górną wargę, do której dolna dostosowywała się wyrazem nadąsania. Mała broda zachowała szczątkowy wdzięk kobiety.

Dopiero, kiedy wrzasnęła na nas:— "patrzą się, jakby nigdy nie widziały kobiety!" — objawiła się jej straszność. Usta stały się poszczęką o wilczych, tygrysich, czy też gorylich zębach. Widząc nasze przerażenie zaczęła się śmiać — brzmiało to jak rżenie. Śmiejąc się, przestępowała na nogach jak słoń. Z wielkiej uciechy zmierzwiła rękami włosy płowe, jak lwia grzywa. Była jak gdyby dziwotworem o cechach rozmaitych zwierząt.

Halina, mówiąc dobrze po rosyjsku, próbowała obłaskawić Dunię, która zaskoczona dźwięcznym szczebiotem rodzimej mowy, zastrzygła małymi uszami, ujawniając czujny niepokój. I tak już zostało: czujnie, nieufnie w stosunku do nas. Leżąc całym obszarem swojej postaci na narach, przewieszała przez jej krawędź głowę i patrzyła w dół, czając się migotliwymi źrenicami. Przysłuchiwała się rozmowom Haliny z docentką moskiewskiego uniwersytetu, aby przedrzeźniać i łżyć. Bywało jednak, że wtrącała się układnym zdaniem. Wtedy mówiły kobiety: — "Gdyby Dunia zawsze chciała być taka kulturalna, zrobiliby ją brygadjerką celi". — Dunia odpierała te oferty grubym słowem. Nie, nie była demagogiem. Była tyranem.

Kim właściwie była? Jeżeli inne sowieckie kobiety zwierzały się ze swoich tajemnc, szybko wychodziło na jaw, że ta, która przyznawała się do "rozstraty", była bandytką. A ta skromna i dziewczęca, poderznęła kochankowi gardło we śnie. Polityczne natomiast zatajały się już znając cenę swoich przewinień. Ceną Duni była kara śmierci zamieniona na 25 lat więzienia. Bo Dunia, wbrew pozorom, nie była pospolitą zbrodniarką. Uczyniła coś, co najwyższe czynniki państwowe wprawiło w zdumienie, a może nawet w popłoch.

Siedząc na moim tobołku i garbiąc się bez oparcia dla pleców, mogłam właściwie patrzeć już tylko spode łba. Ale żaden kąt widzenia nie potrafił uzasadnić nieprawdopodobieństwa. Docentka Roza z niezmiennym, łagodnym wyrazem twarzy zabijała pluskwy pantoflem zdjętym z nogi. Inne robiły to pięścią. Krew splamiła więc ściany, układając się w nieumyślne arabeski. Za każdym stuknięciem obcasa Rozy, Halina wzdrygała się nie przerywając jednak in-

teligentnych dyskusyj. Mózg jej pracował sprawniej niż serce. Ale o chorym sercu rozmawiała tylko ze mną i wtedy jej pragnienia ograniczały się do czegoś nieosiągalnego — do odrobiny świeżego powietrza. Jej smagła drobna ręka, wachlując, usiłowała rozrzedzić zgęstniałą duszącą masę. Patrząc na tę bezradną rękę, musiałam zawsze pocieszyć Halinę komplementem: "Taką piękną ma pani rękę". — A Halina zawsze odpowiadała tak samo: "Osoby chore na serce mają ładne ręce."

I Dunia zauważyła ręce Haliny. Patrzyła na nie z daleka, złośliwie i nienawistnie. Rozczapierzała wtedy swoje palce, zwijała rękę w pięść i wybuchała tryumfalnym śmiechem. Widząc to, siliłam się na żart: — "Czy zabezpieczyła pani swoje ręce? Czy duże dostanie pani odszkodowanie?" — Halina uśmiechała się:— "Dam sobie radę z Dunią" — Niecierpliwiło to nawet docentkę Różę: — "Czym? Tymi rękami?"

Upał w celi wzmagał się z każdym dniem, choć na dworze dął ze stepu suchy i zimny wiatr. Nieznacznie zwlekały z siebie kobiety odzież. — Ale i koszule lepiły się do skóry. Wreszcie zdjęły bieliznę. Nagie ciała, mokre i gorące, ślizgały się o siebie. Powstawała wtedy nienawiść ciał, niezależna od uczuć, które przecież niekiedy wiązały się w sympatię, a nawet w przyjaźń. Dlatego pobiły się dwie młode złodziejki, leżąc obok siebie. Dlatego też Roza obrzydziła sobie intelekt Halinki. Dunia zaś schodząc z nary, miesiła ciała nogami, jak ciasto w piekarni.

Któregoś dnia przyszła do celi kobieta prawie piękna, w sukni kwiecistej, modnej, paryskiej. Mogłaby mieć na imię Ivonne albo Germaine, ale nazywała się zwyczajnie — Masza. Witano ją po dłuższej nieobecności, bo wróciła tu ze wznowionej rozprawy sądowej. Dunia zapiała jak kogut wysokim dyszkantem i rzuciła się na Maszę z niweczącą tkliwością. Gdy jednak Masza z tobołka wyjęła chleb i garnuszek baraniego tłuszczu, gdy zaczęła częstować znajome, Dunia, bijąc się pięściami po głowie i szczerząc kły zażądała wszystkiego dla siebie. Pochwyciwszy chleb i garnek, skoczyła na swoje piętro. Mlaskanie, żucie, łykanie odbywało się wśród ciszy niemal pustynnej. Zwierz spożył swoją zdobycz. Nasyciwszy się, powiedziała: jest wielka i mocna, dlatego potrzeba jej więcej pożywienia niż innym. Czterysta gramów chleba, "kipiatok" bez cukru i cienka zupa raz na dzień — czyż wytrzymałaby o tym dwadzieścia pięć lat więzienia? Czy zobaczyłaby jeszcze kiedy swoje dzieciątko? — Mówiła to głosem gruchającego gołębia, aby natychmiast wybuchnąć lamentem Hagary: — "O, synku mój, o zły losie, o straszliwa władzo nad nami!"

Po tym niebosiężnym krzyku, usnęła. Tuląc pod pachą Wandę — która trwała obok niej dla tej odrobiny chłodniejszego powietrza pod oknem — leżała tak, wielka i budząca postrach nawet we śnie. Masza powiedziała poetycznie: "nawiedzona". Zatem Dunia o nadludzkich kształtach wymykała się człowieczeństwu jeszcze jakąś nadwyżką — ducha.

Kimże była Dunia naprawdę? Masza manierycznym szeptem opowiedziała mi jej historię: Wypasała byki na stepie i rozmyślała o różnych sprawach. Potem mówiła o tych sprawach na głos. Najpierw słuchał jej tylko step i byki, wkrótce jednak zaczęli się zbiegać ludzie jak na mittingi. Ach, czytać i pisać przecież nie umie, ale mowa nawiedzonej ma pociągający czar. Uwierzyli więc w nią, w tę Dunię. A potem donieśli i zgubili. Męża miała malutkiego, nieznacznego. Zabili go w jej oczach, choć go broniła. Za silna jest i sama, broniąc go, rozszarpała do reszty. I dziecko miała. Może jeszcze jest to dziecko gdzieś u ludzi, ale najpewniej w "dziecdomie". Młoda jest — dwadzieścia dwa lata. — Ciągle jeszcze nie pojmując, zapytałam: "Czym zawiniła?" — Masza spojrzała na mnie spłoszonym wzrokiem i zawahawszy się trochę, wyrecytowała: — "Dunia dostała najwyższy wymiar kary". — Tym zamknęła historię Duni w tiurmie na dwadzieścia pięć lat.

Masza, wyłuskawszy się już z paryskiej kreacji, tak samo jak wszystkie, gotowała się we wrzącym powietrzu. Obok niej dyszały bohomołki parując obyczajnie w swoich łachmanach. Ich śniade płaskie twarze polerował pot, gdy podkuliwszy pod siebie nogi żuły chleb albo modliły się ruchem sino-czarnych warg. Uchylały tylko szparki powiek, kiedy Dunia wykrzykując: — "Ach, bydło, bydło — śmierdzą mi tu gnojem!"— zrzucała je z nar na dół jak tobołki. Trzeba jej było więcej miejsca i więcej powietrza dla siebie. Chciała śpiewać. Głos wymierzony na przestrzeń stepu, zderzając się ze ścianami celi, zalewał uszy ogłuszającym strumieniem. "Słońce wschodzi i zachodzi — w mojej tiurmie wieczna noc..."

Od tego śpiewu powietrze w celi zaczynało wibrować. Nic już nie zatrzymywało swojego kształtu. Z plątaniny ciał ledwie można było wyzwolić poszarzałą twarz Haliny. — Wprędce jednak zostawał tylko zarys jej bladych ust, układających z uporem inteligentne zdania. Osobne oczy i nosy, głowy nie osadzone na szyjach, ramiona nie przytwierdzone do barek — miały zamazany kontur maligny. Na błękitnych smugach wybłyskiwały emalią źrenice Jadwigi, wciśniętej w kąt celi.

Wtedy Halina krzyknęła: — "Zamilcz!" — Zdumienie uporządkowało chaos. Dunia przerwała śpiew i zmilczała Halinie. Słychać tylko było jej dyszenie. Czar nawiedzonej jakby przestał działać. Kilka kobiet odważyło się: — "Tak z nią trzeba!"

Tej nocy, leżąc obok Haliny i mając jak zwykle przy twarzy nigdy nie zdejmowane z nóg walonki Marfy, przebudziłam się o niewiadomej godzinie. Mała żarówka nad drzwiami napełniła celę brunatnym światłem. Ciała leżących przypominały rozkopisko rudej ziemi. — "Halino — szepnęłam — Halino!'" — Nie przebudziła się, jej niespokojne serce biło przy moim ramieniu. Musiałam moje złe myśli snuć dalej sama. Były mroczne, oczadzałe zaduchem. Od czasu do czasu podnosiło się czyjeś ramię i opadało z powrotem, zadając komuś cios. Krótki okrzyk bólu nie zapobiegał już niczemu. Sen tutaj nie był przecież niczym innym jak dogorywaniem.

Nagle rozległ się głos Duni. Zabrzmiał jak pasterski pokrzyk. Od razu też, zaniechawszy konania, obudziły się śpiące. Chórem i w pojedyn-

kę alarmowano:: — "Dunia idzie!". W istocie zsunęła się z nary i szła tratując. Kto zdążył umknąć jej stopom, prawie chichotał ze szczęścia. Dunia szła prosto do swojego celu— do paraszy. Szła mściwie, dostrzegając tę, którą chciała unicestwić. Rozjuszona i wspaniała zawisła na moment nade mną swoją stopą, nie dla mnie jednak przeznaczoną. Mierzyła w Halinę. — "Ach, ty!" — warknęła. Halina zakwiliła przeciągle i zwinęła się w kłębek. Dunia miała już uderzyć drugą stopą, ale opasałam ją obiema rękami i postawiłam na pustym, uprzątniętym miejscu.

Łzy Haliny spływały po moim ramieniu. Inne stratowane płakały głośniej, nie znajdując w swoich sercach sprzeciwu. Wkrótce jednak znowu ciągnął się sen chrapliwie przez gęste powietrze. — "Halino! — szepnęłam — "Halino!" ale i jej sen już skleił powieki zasychającymi łzami. Dźwignęłam głowę, aby to, co pełzało w moich myślach, mogło nabrać wartkości. Ale w każdej pozycji tak samo pełzał strach i tak samo dławił wstręt. Po twarzach śpiących łaziły pluskwy, a ciała zdawały się puchnąć jak w rozkładzie. Z uporem podnosiłam coraz głowę, która opadała, chwiała się na sen, na śmierć... Nie chciałam umrzeć, choć zapach życia by tu ckliwy jak woń padliny. Ciężki obrót ciała Duni na narze nade mną — wydał mi się prawie ratunkiem. — "Dunia — nie wiem czy powiedziałam to, czy tylko pomyślałam—Dunia, nie śpisz." — Odezwała się z góry cichutko, jakby szanując sen innych: — "Nie śpię, nie mogę spać. Myślę o moim dzieciątku". — Nie odpowiedziałam, bardziej niż rykiem potwora przerażona tą czułością. Ale Dunia szeptała dalej:: — "Jutro, zobaczysz, co będzie jutro.." — I to brzmiało tkliwie, choć niosło groźną zapowiedź.

Już z rana ostrzegłam Halinę, która tym razem nie powiedziała: "dam sobie radę". Szukała raczej sojuszniczek w Maszy i Rozie. Masza, od wczoraj brygadierka celi, wymówiła się swoją oficjalną funkcją. A Roza już bezopornie poddawała się przemocy. Na razie jednak nie działo się nic. Dunia przez wiele godzin siedziała na swej narze ściszona i smutna. Nie odczuwając jej obecności, kobiety pofolgowały sobie. Wybuchały drobne swary i nie Dunia, ale kto inny śpiewał długą pieśń o prokuratorze, który oskarżał swoich rodziców, a potem, dręczony wyrzutami sumienia, zabił się na ich grobie. I wtedy właśnie Dunia zeskoczyła z nar, rozdając razy i kopnięcia. "Dunia — usiłowała ją poskromić brygadierka Masza — Dunia, bądźże człowiekiem!" — Dunia zatrzymała się przy drzwiach i parsknęła: — "Ty, generalsza, ty mi nie nakazuj! Podeptane depcę, a mnie — nikt, nikt!" — Masza dała nura w tłok, ale pięści Duni nie jej groziły.

Uderzyły w blachę drzwi. Potem bluznęła w otwarty wziernik:: "Do naczalnika!" — Klapnęło lekko okrągłe okienko. W celi zrobiła się cisza duszna od strachu. Masza, odpowiedzialna za spokój i porządek, słaniała się blada. Dziewczęca morderczyni nie potrafiła się opanować i pisnęła: "To Polki zaczęły z Dunią!" — I zaraz spieniło się, że Polki, Polki! Śpiewać jej zabroniły! Halina zerwała się z miejsca i zasłoniła Jadwigę, jak gdyby tej najcichszej z nas groziło niebezpieczeństwo. Skoczyłam i ja, ale pchnięta o ścianę, rozpłaszczona na niej, miałam tylko czarny gniew na oczach.

Tymczasem Dunia, po kilku minutach spokojnego czekania, zaczęła znowu bić pięściami o drzwi. Chwyciła jakiś dziki rytm i blacha, odskoczywszy od drzewa, wydawała jazgowe dźwięki. Przez wziernik wpadło kilka obelżywych wyrazów. Dunia załkała głośno: — "O dzieciątko chcę się dowiedzieć!" Okrągłe usta wziernika plugawiły się raz po razu.

Strach z miejsca przeobrażony we współczucie zatrzymał jednak swoje brzmienie. Tylko, że już nie nas obwiniano, ale kogoś bezimiennego. Kiedy jednak Dunia, krwawiąc pięście, wyrwała ze ściśniętego gardła strzępy krzyku: — "Stalin, Stalin! Gdzie twoja konstytucja!" — wrzask kobiet urwał się nagle. Każda dopadła swojego miejsca i zastygła jak owad udający trupa. Masza zbielałymi wargami mamrotała: — "nawiedzona, nawiedzona" — i zatkała rękami uszy, żeby nie słyszeć. Dunia, szczerząc zęby, odwoływała jednak ciągle to imię i gryzła pokrwawione pięści. To tylko mogłam zobaczyć w okamgnieniu, że Dunia nagle jakby wpadła w czeluść otwartych drzwi.

Mijały godziny i kiedy już rozdano wrzątek, który napełnił parą celę, otworzyły się drzwi. Wepchnięto przez nie coś ogromnego i bezwładnego, coś, co zwaliło się ciężko jak kłoda, przygniatając siedzące na podłodze. I Halinę, Halinę także. Lecz nawet te, które poparzyły się wrzątkiem, przemilczały ból. Jakże tu leżała ta wielka i potężna Dunia, jakże płakała rzewnym, kobiecym szlochaniem! Halina, wydobywszy się spod Duni, nachyliła się nad nią: — "Dunia, biedna Dunia, co z tobą zrobili?"

Dunia odsłoniła twarz spuchniętą i fioletową. Zranione wargi składały ułamkowe wyrazy: — "Zbili — mieli prawo — do dzieciątka nie mieli — a zabili — umyślnie — w dziećdomie — i już dla mnie nic — tylko to moje — dwadzieścia pięć lat — w tiurmie". — Halina pogładziła ją po nastroszonych lwich włosach, po opuchłych policzkach.

I wtedy zobaczyłam, jak mała ręka Haliny znalazła się w łapczywym chwycie ręki Duni. Chciałam krzyknąć: "ratujcie!" — ale stało się coś straszniejszego — Dunia podniosła rękę Haliny do ust.



*Paczki z amerykańskimi racjami żywnościowymi są zbawieniem dla wygłodzonych wygnańców polskich.*

KRZYSZTOF NIENASKI

# POLITYKA ZAGRANICZNA FRANCJI

Wielkie fortuny, wielkie rady, wielkie mocarstwa gasną powoli. — Zwłaszcza starodawne. To dzisiaj żyjemy wstrząsami, amplitudami nieznanymi w dziejach. Niemcy, które były drugorzędnym mocarstwem jeszcze w 1935 r., w 1940 r. były już najpotężniejszym, teraz stoczyły się na dno upadku. Rosja, słaba w latach dwudziestych, zdawała się na progu ruiny w czterdziestym pierwszym, obecnie zachowuje się jakby była potężniejsza dużo od Wielkiej Brytanji, a równa Stanom. Dawniej te wzloty i upadki, dzisiaj odmieniane na lata czy nawet miesiące, trwały stulecia. Dzisiaj, z perpektywy, dzieje Francji od Waterloo wyglądają schyłkowo, i tego ogólnego obrazu nie potrafi odmienić nawet stworzenie imperjum kolonialnego Trzeciej Republiki, jej triumfy w polityce aljansów i wreszcie owe listopadowe, drogo — zbyt drogo — okupione zwycięstwo.

Schyłek. Jesienne, blade słońce, jesienne wihry, szarugi, błota. Czy już koniec? Czy Francja to już tylko Wielka Belgja, "une grande Belgique"? Czy los jej będzie także, jak owej dumnej ongiś, potężnej Hiszpanji której imperium i blask przetrwały o dwa czy poniekąd nawet trzy wieki śmierć wielkiego Filipa? Czy Francję toczy rak podobny, ukryty, niezrozumiały, nieznany, ale równie nieuleczalny? Czy Francja — to już tylko muzea, Paryż, kabarety, kasyna, dobra kuchnia, kapelusze damskie i jakieś dalekie zamglone wspomnienia? Czy też ta Francja ma jeszcze jakąś przyszłość? I jaką? I co da światu?

W osiemnastym wieku cywilizacja zachodnia czyli współczesna (bo innej dotąd niema) była cywilizacją francuską. Kultura innych krajów, nie wyłączając angielskiej, miała mało ci większe znaczenie niż dzisiejsze wpływy i znaczenie kulturalne Łotwy, Bułgarji czy Portugalji. Od czasów Rzymu i supremacji kościoła w wiekach średnich nie było epoki równej jedności kuluralnej świata. Na Kongresie wiedeńskim jedynym mężem stanu, który zdaje się, znał trochę swój język ojczysty, był Anglik Castlereagh—reszta, te Aleksandry, Capo d'Istria, Porro di Borgo, Gentry Metternichy itd. — to byli Francuzi używający i w życiu prywatnym i w korespondencji urzędowej wyłącznie języka francuskiego, czytający wyłącznie książki francuskie, dla których jedyną opinją publiczną była opinja francuska. Musieli aż ukuć termin "racja stanu" by uzasadnić fakt, że nie byli patrjotami francuskiemi.

O co Francja prowadziła długie wojny Ludwików, później Napoleona i wreszcie już połowicznie, za Napoleona II? Przecież nie o bezpieczeństwo.

Walczyła o hegemonję, a ściślej o Europę francuską — une Europe francaise. O panowanie jednej cywilizaji od Petersburga do Kadyxu, o zwycięstwo myśli i pojęć francuskich od Konstantynopola do Edynburga. Cesarstwo Napoleona miało być tylko odźwierciedleniem tej uniwersalności kultury francuskiej, jakby jej przejawem w dziedzinie politycznej. Runęło najprzód panowanie polityczne, potem przyszła powoli, stopniowo reszta..

Nie można porównywać prób Hitlera z Napoleonem. Niemcy nigdy nie osiągnęły tej przewagi w życiu umysłowym, w sztuce, w obyczaju, w literaturze, który był udziałem i jakby posagiem Francji. Były zawsze parwenjuszem, drugostolnym dorobkiewiczem. Supremacja Francji była możliwa, bo świat ją sam akceptował. Supremacja Niemiec wczoraj, Rosji dzisiaj opierała się czy opiera tylko na sile, na bataljonach, na bombach, na Gestapo czy G.P.U. Trącić, przetrącić — i po wszystkiem. Nic nie promienieje, nic nie pociąga, nie zostaje nawet legenda.

Dekadencja Francji była wyraźnie polityczna. Ani jednak mdła dyplomacja Ludwika Filipa, szaleństwo Napoleona III ani korupcja i bryzganie błotem III republiki nie są za to odpowiedzialne. Głębsze, i niestety trwalsze czynniki weszły tu w grę.

W r. 1800 Francja miała ludność przeszło dwukrotnie liczniejszą od Anglji, i większą niż Niemcy. Dzisiaj ten stosunek się odwrócił. Wyczerpanie biologiczne leży u podstawy upadku Francji. Największą klęskę poniosła ona w bitwie kołysek — upływ krwi w czasach tamtej wojny ją dobił. (Nawiasem mówiąc to Foch, Joffre, "rzeźnik" Mangin i inni swym szastaniem żyć ludzkich są głównie odpowiedzialni za klęskę Francji w 1940 r.; natomiast zasługą Churchill'a wobec W. Brytanji pozostanie, że wygrał wojnę obecną kosztem zaledwie 200 tys. żołtys. żołnierzy angielskich — 300 tys. z dominiami, Indjami, kolonjami etc., a więc stosunkowo bardzo tanie.) Spadek rozrodczości francuskiej zbiega się najściślej z upadkiem wpływów kościoła. Kanadyjczycy Francuzi, znani ze swego przywiązania do katolicyzmu, są dotąd jednym z najpłodniejszych społeczeństw świata. Nie wierzę by bez odrodzenia religijnego mogła we Francji nastąpić głębsza rewolucja demokratyczna. Niestety odbudowa relgijności francuskiej nie wygląda zbyt obiecująco.

Drugi moment. Kultura francuska była zawsze wysoce intelektualna, elitarna, zatem arystokratyczna. Ma olbrzymi urok dla inteligencji, mniejszy dla mas. Dla tych wulgarność Hollywood'u czy grube prostackie półinteligenckie teorje hitlerowskie czy bolszewickie większą stanowią atrakcję. Zdemokratyzowanie Europy i świata, w tak dużej zresztą mierze dzieło i dziecko rewolucji francuskiej, miało dla Francji skutki imponujące. Wystarczy porównać wpływy intelektualne Francji w carskiej i bolszewickiej Rosji, w dawnej Austrji i w krajach sukcesyjnych (i to pomimo aljansów) oraz w Niemczech Wilhelmowskich i Ebertowskich.

Trzeci wreszcie moment to rosnące uprzemysłowienie świata i powstanie nowej cywilizacji, opartej o talenty organizacyjne i techniczne. W tych dziedzinach Francuzi nie celowali. Pozostali społeczeństwem indywidualistycznem, niesfornem, niezdyscyplinowanym, niechętnym wielkiemu planowaniu, reglamentacji, produkcji masowej. W Anglji racjonowanie żywności idzie jak po kółkach, we Francji kwitnie "czarny rynek", wyraz swoistej przedsiębiorczości prywatnej i w każdym razie nieokiełznanego indywidualizmu, nieznoszącego wszelkiego przymusu. Wynalazczość francuska nie pozostała w tyle, jej zastosowanie do produkcji masowej nigdy się nie udało wobec nowoczesnych kolosów przemysłowych, pracujących jak jeden wielki, lśniący koncern — Stany, Anglja, Niemcy — Francja pozostała archaiczną 19-wieczną krainą. Archaizm ma swój urok, ale jakżeż drogo kosztuje!

Na jakich więc głębszych elementach może gen. de Gaulle swą "mocarstwową" politykę oprzeć? Brakuje mu podstawy ludnościowej, podstawy przemysłowej, wreszcie promieniowania ideałów i myśli francuskiej. Bo jakież to są ideały? Wolność Tomku w swoim domku, żyć spokojnie, wygodnie, zapomnieć o reszcie świata. Niemcy czegoś chciały, czegoś potwornego, ale czegoś po-

twornego, ale czegoś. Francja nie chce naprawdę niczego. Dawniej przynajmniej namiętnie tęskniła do "securite" Dzisiaj to słowo wywołuje u Francuzów cyniczny uśmiech. Dawniej wierzyła w aljansy — dziś sama je uważa za świstki papieru. Dawniej chciała Europy francuskiej. Dziś wie, że takiej Europy być nie może. Jeżeli ma być zaś angielską, niemiecką czy rosyjską — to czyż jest o co walczyć, czy czem się entuzjazmować? To my, Polacy, mogliśmy przez sto lat bić się o Europę francuską, tak jak dzisiaj krwawimy się o to, by była angielska. Ale Francuzów się na taki idealizm nie nabierze.

To też De Gaulle prowadzi nie politykę, a grę. Jak każda gra może ona przynosić chwilowe sukcesy, na dłuższą metę pozostaje jednak jałowa. Jest bardziej teatralną niż realną. Mocniejszą w słowach niż w czynach. Na papierze wygląda nieźle, nie wytrzymuje żadnej poważniejszej próby. Zaczyna on od "mocarstwowości", kończy się na defenzywie. Szerokie plany, wielka koncepcja sprowadzają się do obrony stanu posiadania.

Francja już nie jest siłą antyniemiecką. W 1940 r. bić się nie chciała. Resistance nigdy nie objęła więcej niż 300 tys. ludzi — a i z tego połowa przylgnęła dopiero w ostatniej chwili pragnąc znaleźć się po stronie zwycięskiej. Jako masa, jako całość Francuzi kollaborowali. Ze wszystkich krajów okupowanych Francja zachowała najmniej złe wspomnienia. Jeśli istnieją jakieś głębokie namiętności, to w kierunku walk wewnętrznych, zwalczania przeciwników politycznych wojny domowej. Dzisiejsze rozpawy z Vichy — to porachunki z prawicą. Podobnie "teror" Vichy — to były porachunki z lewicą.

W r. 1918 Francja pragnęła aneksji lewego brzegu Renu. Dzisiaj aneksjonizm wobec Niemiec jest tylko sztuczny, pozorny; żądania francuskie są tylko kartą w licytacji międzyaljanckiej. W istocie Francuzi powiadają sobie, że Niemcy mając na karku Anglję, Stany i Rosję nie mogą sobie pozwolić na złe zamiary wobec Francji. Poco zresztą? Oczywiście Francja zawsze się zgodzi i weźmie udział w prewenyjnych krokach antyniemieckich. Ale wie doskonale, że gdyby Big Three pozwoliły Niemcam się ponownie dozbroić i stać raz jeszcze potęgą militarną, to Francja wówczas skapitulowałaby bez strzału. Zachowa się już nie jak w r. 1940, ale jak Danja albo jak Węgry. Pójdzie z Niemcami. A i nawet przedtem będzie starała się unikać sytuacji lat dwudziestych, kiedy to Francja żądała sankcyj, okrojenia Niemiec, reparacyj, rozbrojenia, co pozwalało Anglji odegrywać rolę obrońcy uciśnionych Niemiec i mediatora. Teraz nie. Pikę tę zarezerwuje teraz Anglji. Niech ona się martwi w szeregu tych, co mają pilnować Niemiec, Francja będzie na ostatnim miejscu. Na jaknajdalszym. Po Luxemburgu o ileby to było możliwe.

Najwięcej rozumu de Gaulle wykazał może w stosunku do Włoch, próbując całkowicie przekreślić zbyteczny i bezsensowny konflikt francusko-włoski. Jego oświadczenia, że Francja nie ma żadnych aspiracyj terytorjalnych w stosunku do Włoch, było może jedynym jego aktem "statesmanship'u". Ale niestety obecna moda na "zastawy" w postaci okupacji różnych stref i zon skłoniła de Gaulle'a do okupowania doliny Aosty; bezsensowne to posunięcie niczego Francji nie daje prócz taniej satysfakcji i zadowolenia próżności, a może być punktem wyjścia dla nowych zadrażnień francusko-włoskich na których obie strony mogą tylko stracić.

Ale oczywiście istotnym problemem dla Francji jak i dla wszystkich krajów kontynentu są stosunki z Anglją i Sowietami, przyczem Amerykę można, narazie przynajmniej, traktować jako część zagadnienia angielskiego. Tutaj tkwi dylemat którego De Gaulle nie potrafił rozwiązać i bodaj że nie rozwiąże.

Z Rosją Francja nie ma sprzecznych interesów. Nie styka się z nią geograficznie, nic jej bezpośrednio od Rosji nie grozi. Współpraca z nią byłaby naturalna. Mimo tego się nie klei. Aljans francusko-rosyjski stoi na papierze. W życiu nie gra prawie zupełnie.

Bo po pierwsze Rosja nie może — w przeciwieństwie do Anglosasów — pomóc Francji w jej codziennych kłopotach. Nie może dostarczyć ani pomocy gospodarczej, ani żywności, ani maszyn, ani techników, ani statków, ani nawet surowców. Tu wszystkie klucze należą do anglosasów. Rosja może Francję częstować tylko toastami i propagandą. To mało na puste żołądki i bezczynne ręce.

Po drugie Frncja należy do zachodniej Europy. Jest krajem realistów. To tylko my opieraliśmy zawsze naszą politykę o aljanse egzotyczne. Francja rozumie że koszula bliższa ciału... ogląda się za sąsiadami. Rosja jest dla niej za daleko.

Po trzecie metody dyplomatyczne Rosji są zbyt brutalne dla cywilizowanych europejczyków. Dyplomacja rosyjska operuje tylko szantażem, zastraszeniem, podstępem, oszustwem. Nie zna współpracy, rozumie tylko podporządkowanie. Francja zdaje sobie sprawę, że by pozyskać pełne zaufanie i poparcie Moskwy, musiałaby stać się Beneszowymi Czechami a nawet Lublinem.

Po czwarte jedynym celem zalotów sowieckich do Francji jest pokłócenie jej z Anglją. Z gry tej de Gaulle zdaje sobie sprawę, a jeśli nie on to Quai d'Orsay. I znowuż Francuzi nie chcą wyciągać dla Moskwy kasztanów z ognia. Nie chcieli pójść przeciw anglosasom dla Hitlera, nie zrobią tego dla Stalina.

Po piąte, i to może jest najważniejsze, instnieje olbrzymia agentura moskiewska we Francji w postaci partji komunistycznej. De Gaulle, jak i Piłsudski, którego poniekąd przypomina, choć raczej in minus, — przypadkowo związał się z lewicą ale jest sam człowiekiem o instynktach prawicowych. Jego sojusz z komunistami jest nienaturalny i obu stronom ciąży. De Gaulle jest zbyt prawdziwie "l'homme de la France" by móc na dłużej tolerować rozpasanie i wichrzenie "des hommes de Moscow". I można być pewnym że Thorez'a powiesiłby z niemniejszą przyjemnością jak Lavala.

To też au fond de Gaulle chętnieby sprzedał cały aljans sowiecki Anglikom za dobre przymierze z Anglją — a o ile możności i ze Stanami — które by mu pozwoliło rozmawiać z Londynem na równej stopie i na podstawie fifty-fifty prowadzić wspólnie politykę anglo-francuską w Europie. Jego przymierze z Moskwą było manewrem. Ale Anglicy widzą jego grę doskonale. Uważają, że niema nic do sprzedania, że i tak będzie musiał doszlusowywać do Anglji. Nic mu nie chcą zapłacić a już najmniej pozwolić mu na współudział w kształtowaniu polityki angielskiej. I czekają spokojnie, nawet szyderczo, aż de Gaulle stanie do szeregu. Narazie próbują podważyć jego pozycję. Wolą powrót do czystej demokracji parlamentarnej, zmartwychwstania polityków III Republiki. Ludzie jak Reynaud, Herriot, Daladier będą zawsze tawiej tańczyć jak się im każe.

Rozwój stosunków anglo-francuskich, tak brzemienny w skutki dla całego wiata zależy w 90 procent od Anglji w 10 procent od samej Francji. Tutaj Anglicy będą musieli wykazać rozum, takt i dalekowzroczność. Bez serdecznego zacieśnienia stosunków z Francją, Anglja w sposób nieunikniony wpadnie w dawne błędy germanofilskie. Bo jej flirty z Sowietami prędzej przy później bę-

dą musiały pęknąć. W odbudowanej Entencie anglo-francuskiej — Francji z natury rzeczy przypaść musi rola skromniejsza — ale jednak stanowi ona zawsze jedyną jeszcze nadzieję, że jakaś Europa będzie istnieć.

Wreszcie, jakie są perspektywy przyszłych stosunków polsko-francuskich? Były one żywe tak długo jak długo Francja aspirowała do hegemonji w Europie. Ilekroć się tych aspiracyj wyrzekała, stosunki te zamierały i więdniały od strony francuskiej. Dla nas partnerem na zachodzie może być kandydat na hegemona. To też ta rola którą tradycyjnie w naszej polityce zagranicznej spełniała Francja przeszła obecnie na Anglję. Jeśli będziemy się orjentować na zachód, to na Londyn, nie na Paryż. Nasze stosunki z Francją będą plus minus takie jak dawniej z Włochami i Węgrami — bardzo serdeczne i przyjazne, ale bez nerwu politycznego. I Polska i Francja są dzisiaj za słabe by prowadzić wspólną politykę bez poważnego poparcia i zachęty ze strony Anglji i Stanów Zjednoczonych.

# OPINJE I ZDARZENIA

### PORUCZNIK JULJUSZ STARZYŃSKI

Autor pięknego artykułu o zniszczonych dziełach sztuki polskiej który zamieszczamy w dzisiejszym numerze "Tygodnika", porucznik Juljusz Starzyński, jest jednym z najwybitniejszych historyków sztuki młodego pokolenia, zarówno znakomitym, pełnym smaku fachowcem jak też doskonałym pisarzem.

Wzięty do niewoli w 1939 roku jako oficer Wojsk Polskich, Juljusz Starzyński przebył pięć lat w Murnau i teraz dopiero został oswobodzony. Z obfitego i niezwykle ciekawego materjału pisarskiego, który nam nadsyła drukujemy dziś piękne studjum o zabytkach, przeznaczając dalsze na następne numery.

Jesteśmy szczęśliwi z nawiązania kontaktu z porucznikiem Starzyńskim i przesyłamy mu najserdeczniejsze pozdrowienia.

### WYRAŻENIE KTÓRE TRZEBA SPROSTOWAĆ

W komunikacie z obrad poczdamskich użyte zostało wyrażenie "Rząd polski w Londynie, który przestał istnieć". Zwrot ten jest dowodem, jednym więcej że ścisłość prawna, wypracowana przez wieki kultury politycznej i będąca znakiem nietylko stylistycznych subtelności ale przedewszystkiem poszanowaniem samej istoty prawa—jest obecnie traktowana na szczytach polityki światowej z rozbrajającą lekkością i beztroską. Oczywiście że jeśli można było w Polsce sojuszniczej zabrać połowę jej ziemi, jeśli można było jej narzucić rząd, wbrew jej woli cóż znaczy, powie ktoś, jakieś wyrażenie w komunikacie.

Chodzi o to że owo wyrażenie jest ogniwem w większym logicznym łańcuchu, że jest to przykład stylistyczny iż w nowej organizacji świata prawo, sprawiedliwość, i wreszcie sama prawda uważane są za tak zwane "fiume". Wielka Brytanja i Stany Zjednoczone idąc na rękę Rosji przestały uznawać Rząd Polski w Londynie. Swoją uległość względem, jakże zależnego od nich sojusznika, posunęły niewiadomo dlaczego tak daleko że owo cofnięcie uznania odbyło się ze skwapliwością i brakiem ceremonji, od których jkże odbija się kurtuazja okazana Polakom po roku 1939 przez Węgry naprawdę przecież od Niemiec zależne.

Rząd Polski najniewątpliwiej prawowity, uznawany przez cały wolny naród Polski, przedewszystkiem przez Armję Polską jak wiadomo czemś przecież w tej wojnie zasłużoną, pozbawiony został należnej mu sytuacji wśród narodów Zjednoczonych, odebrano mu z dnia na dzień bez żadnych ceremonji niby rządowi wrogiego państwa jego mienie i możność pracy. Ale według prawa i według prawdy nie oznacza to, że ten rząd nie istnieje. Prezydent Raczkiewicz konstytucyjny suweren Polski ani sam się swej władzy nie zrzekł, ani nie dał dymisji rządowi Arciszewskiego, ani rozbiorów Polski, ani bezprawnych w niej rządów nie uznał. Prawowity Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, rząd naprawdę polski, prawdziwe wojsko Polskie istnieje nadal i oni jedynie wypowiadają to co czują, czego pragną wszyscy Polacy, zmuszeni do milczenia lub wykrętnych słów aby zachować zagrożone życie.

### FLIRTY LEWJATANA

Pan Henryk Strasburger, który był, mówiąc językiem pana Osubki, największym "rekinem" kapitalistycznym i wcielonym Lewjatanem pojehał do Polski, gdyż jak twierdzono, miał zostać ambasadorem nowego rządu w Londynie na co jakoby już był przystał.

W tej chwili dochodzi do nas wiadomość, że ta nominacja nie jest bynajmniej pewna i że prawdopodobnie pan Strasburger będzie zmuszony zostać w Polsce jako "Lewjatan na emeryturze", którego los dopiero później po wyborach będzie zadecydowany. Zdaje się nam, że rozmaici ochotnicy współpracy z Rosją nawet tak otrzaskani z polityką i wszelkiego rodzaju kombinacjami międzynarodowemi jak p. Strasburger przeceniają swoją niezbędność dla Sowietów i grzeszą w tem rozbrajającą naiwnością. Pan Strasberger może nie wiem jak dyplomatyzować, ustępować, flirtować, trudno jednak aby bolszewicy robiący w Polsce komunizm "na całego" uznawali go za komunistę i za swego człowieka. Zrobiwszy Wincentego Rzymowskiego Ministrem Spraw Zagranicznych i zadrwiwszy sobie w ten sposób w żywe oczy z Anglji i Ameryki powiedziały Sowiety wyraźnie na jakich ludziach chcą się w Polsce oprzeć. Nie widzimy dotąd powodów aby miały zmienić swoją taktykę w tych sprawach.

### TYLKO DUHAMEL

Było tradycją wśród pisarzy francuskich występowanie w obronie pokrzywdzonych ludzi i ludów, było poprostu zwyczajem od którego stosowania nigdy demokratyczni pisarze francuscy nie uchylali się. Do tej tradycji apelował także Józef Czapski w swoim znanym liście do Mauriaca i Maritaina, który parę miesięcy temu "Tygodnik Polski" drukował. Otóż zdaje się ta tradycja i ten zwyczaj teraz poszły w zapomnienie i pisarze francuscy, idąc po linji tego co Julian Benda nazwał kiedyś "Zdradą Klerków" rządzą się w swych wystąpieniach tak jak pisarze totalistyczni taktyką polityczną i opinjami swych rządów. Mamy przed oczami odezwę intelektualistów francuskich w odpowiedzi na Jałtę. Odezwa jest nietylko miękka, ostrożna, pełna niedomówień, i troski aby w niczem rządowi francuskiemu kłopotu nie sprawić. I pod tą niewinną odezwą z całej plejady wielkich pisarzy francuskich podpisał się tylko jeden Georges Duhamel.

### ANDRE GIDE W AKADEMJI FRANCUSKIEJ

Jest tradycją wielowiekową w Akademji Francuskiej że przyjmowani są do niej pisarze, odpowiadający nietylko pewnym wymaganiom natury czysto literackiej ale zarazem tacy, których twórczość i życie godzą się z wymaganiami t. zw. dobrego wychowania. Dlatego też choć otoczona szacunkiem i sentymentem była Akademja Francuska jednocześnie przedmiotem stałych wyrzutów, gdyż zawsze nie zasiadali w niej Beaudelaire i Verlaine, podczas gdy Scribe czy Benoit nosili frak zielony. Przewrót który teraz wszystko na świecie zmienia i w tych obyczajach zrobi zdaje się, wyłom. Bo oto zanosi się na wypadek, który przed wojną uchodziłby we Francji za skandal nad skandalami. Ni mniej, ni więcej Andre Gide okrzyczany niczem Sokrates za gorszyciela młodzieży, mówiący o swoim życiu programowo wszystko, a nie wszystko w niem było do głośnego wymawiania — stawia swą kandydaturę do Akademji i są podobno poważne dane, że przejdzie. Stary Andre Chevrillon, komentując tę wiadomość powiedział: "Jeżeli go przyjmiemy zrobi to skandal w jednych kołach. Jeśli odrzucmy będzie to skandalem w innych. Ja jestem za tem osobiście żeby wybrać skandal mniejszy". — Przezornie nie dodał jaki.

Inna sprawa, że "czcigodność" Akademji Francuskiej mocno w czasie tej wojny ucierpiała. Poraz pierwszy od swego założenia usunęła Akademja rok temu ze swego grona dwóch członków, którzy notorycznie współpracowali z Niemcami. Jeden z nich Abel Bonnard, Minister Oświaty w rządzie Lavala został teraz zaocznie skazany na śmierć. No i z Marszałkiem Petainem, innym Akademikiem też jest kłopot.

### SENSACYJNA KSIĄŻKA

Nakładem znanego domu wydawniczego Knopfa w New Yorku wyjdzie niedługo książka która stanie się napewno wielką polityczną sensacją.

Autorem jest hrabia Folke Bernadotte, bratanek króla Gustawa Szwedzkiego, tematem zaś ostatnie dni Trzeciej Rzeszy przed poddaniem się Aljantom.

### NA CZELE BEST SELLERÓW

Na czele best sellerów w dziale literatury ogólnej idą teraz dwie książki zbliżone bardzo, bo obie zarówno tyczą się życia żołnierzy Amerykańskich na froncie i są gloryfikacją "nieznanego żołnierza". Na pierwszym miejscu znajduje się album rysunków wojennych i krótkich do nich tekstów, dzieło młodziutkiego żołnierza - rysownika Billy Mauldin odznaczonego nagrodą Pullitzera, pt. "Up Front". Drugi — to sławni "Brave Men", niedawno zabitego na froncie Ernie Pyle.

### GUSTAW MORCINEK W PARYŻU

Znany pisarz Śląski Gustaw Morcinek, uwolniony z obozu koncentracyjnego w którym przeżył parę lat, znajduje się obecnie w Paryżu.

### NAPOLEON, EISENHOWER I... KOBIETY

Generał Eisenhower dostał jak wiadomo od Generała de Gaulle'a szpadę Napoleona. Z tej okazji wypowiedział swoją opinję o cesarzu, która napewno mile zadziwi wszystkie kobiety i przyczyni się do jeszcze większej popularności tego najpopularniejszego ze zwycięskich wodzów. "Napoleon" powiedział Eisenhower "był bardzo wielkim dowódcą. Uwielbiam go jako żołnierza i jako wodza. Znam dobrze jego pisma ale nie podzielam jego wszyskich poglądów. Wolałbym aby ten zwycięzca ludów mówił inaczej o kobietach. Nie można traktować kobiety jak miasta lub fortece. Tutaj potrzeba czegoś innego." I generał dodał z romantyczną mgłą w oczach "w tem Napoleon nie był wielkim wodzem".

### ŚWIĘTY PŁOMIEŃ

W doskonale redagowanej przez Grydzewskiego, a wychodzącej w Londynie bibljotece "Wczoraj i Dzisiaj" wyszedł nowy, trzeci zkolei tomik zatytułowany "Święty płomień".

Jak zawsze wypełnia go bogata treść w połowie aktualna, w połowie retrospektywna — tym razem poświęcona zwłaszcza zagadnieniom kulturalnym: konieczności dziś właśnie obrony tak niewielu ocalałych ludzi i rzeczy naszej kultury. Otwierają zeszyt wiersze Wierzyńskiego i Hemara po których idą — praca Zahorskiej, Nowakowskiego, Danielewiczowej, Andrzeja Pomiana, Strońskiego, Terleckiego. Część retrospektywna poświęcona jest trzem zmarłym w kraju świetnym pisarzom: Kadenowi-Bandrowskiemu, Irzykowskiemu i Nowaczyńskiemu i obejmuje oprócz omówienia ich twórczości — małą antologję ich prac dającą nam możność przypomnieć sobie i boleśnie uświadomić, ileśmy stracili przez odejście tych pisarzy. Mały fragment krytyczny Irzykowskiego o poezji proletarjackiej i nowel z "Lenory" Kadena — są naprawdę, każde w innym rodzaju — arcydziełami.

### POSZUKIWANIA RODZIN

Sgt. Jaworski Jerzy — P. O. Box 277, London, England — poszukuje wujostwa lub ich dzieci: Jana i Rozalji Gurbowskich, zamieszkałych w Meriden, Conn.

Gałucki Wiktor — P. O. Box 260/110 G. P. O. London E. C. 1 — poszukuje Emilji Ambukał (z domu Krzywicka) gmina Sasów, pow. Złoczów, która wyjechała z Polski do Stanów Zjednoczonych w 1912-1914.

St. szer. Gaj-Celiński Andrzej — Polish Forces, C. M. F. 341 — poszukuje krewnych swej żony Zofji z domu Wychopen (ostatnio zamieszkałej we Lwowie, ul. Chorążczyzny 7) którzy prawdopodobnie osiedlili się w Detroit, Mich. Po przejściach w niewoli w Rosji Sowieckiej nie pamięta nazwiska krewnych, ani dokładnego miejsca zamieszkania. Prosi o wiadomość o losach żony i reszty rodziny.

Jadwiga Cegłowska — Polish Forces, M. E. 233 — z domu Jayko, urodzona w Sanoku woj. Łowickiem, córka Franciszka Jayko, zamieszkała w Dubnie (na Wołyniu) prosi o informacje lub wiadomość o stryju Emilu Zarytkiewiczu — 1888 Croton Parkway, Bronx, N. Y. Jednocześnie donosi, że rodzina jej żyje w Kraju, a siostra Jadwiga Dulęba znajduje się razem z nią.



